

Jerzy Lesław ORDAN

Red. Literacka

Data: 8.02.1981 r.

Godz.: 16.05 - 17.30

" KRÓLIKI I INNE ZWIERZĘTA "

Główny Urząd Kontroli Prasy Publikacji i Widowisk	
Delegatura w Bydgoszczy	
uczestniczący w sesjach i rozprawach technicznych	
Nakład	Format
Data 6.2.81	Podpis

... moja farma była najważniejsza. Najpierw ojciec przyniósł skądś parkę szaruchów, zwyczajnych, najzwyczajniejszych w świecie, jakie się najczęściej hoduje: - Masz, nicponiu, chowaj sobie! Może nie będziesz latać jak głupi, drzeć portek, bez potrzeby... Od czasu do czasu jakąś sztukę się zabije, bo z mięsem krucho, skórę wyprawi i na kołnierz będzie albo na czapkę. A jak się skórek uzbiera, to i futerka się dziewczynkom poszyje.

Na razie króliki wsadziliśmy do skrzynki i przykryliśmy deskami. Trawy im tam tyle narzucałem, że prawie wyleźć spod niej nie mogły. Zmieniały ją, zdeptały, spaskudziły i taka była z nimi robota. Ale ojciec zabrał się do zrobienia klatki. Narzekał tylko, że siatki nie można nigdzie dostać, a bez siatki to nie będzie porządna klatka: zwierzaki muszą mieć widno, przewiewnie i czysto. Ale poradził sobie. Drutu skądś przyniósł, ciął go na kawałki i z obydwu końców przybijał do ramy. Potem te druty przetkał jeszcze poprzecznymi i zrobiła się krata.

Pomyślunek miał, ale takiej cierpliwości, jak jeden Rosjanin, którego potem widziałem przy robocie, to na pewno nie.

Na wsi to było, w Potulinie. Gospodarz, u którego mieszkaliśmy ławę zbijał. Więcej kłął, jak zbijał, bo co weźmie gwoździe, cuknie młotkiem, to się zegnie, raz wte, raz wewte i taka robota: Gwoździe niedobre, bo z pożaru. Stodoła się spaliła w czasie frontu i ze zgliszcz, z popiołu gospodarz nawyciągał tych gwoździ, bo żeby gdzieś kupić nowe, to jeszcze nie można było. Nawyciągał, poprostował, ale niedobre były: przepalone, miękkie, wbić się nie dawały, gięły się i gięły. I ten gospodarz złościł się, że przykro było słuchać, przeklinał te gwoździe i ten przypadek, że kupić porządnych nie można, bo ledwie front przeszedł i jeszcze żadnego sklepu w miasteczku nie otworzyli.

Wtedy przyszedł do kuchni ten Ruski i patrzy, co gospodarz wyprawia. Stoja patrzy a potem mówi: - Ano, dawaj, paprobujem! - Jak chcesz, to próbuj - mów i na to gospodarz i wtyka mu młotek w garść - ale tymi gównami, człowieku, nic nie zwojujesz! - Na pewno można - powiada ten Ruski i bierze się do roboty.

Gwóźdź pogięty wyjął obcęgi i wyprostował na toporku, uważnie, dokładnie, potem przystawił do deski i zaczął lekko popukiwać młotkiem, leciutko, ale raz za razem, a nie jak gospodarz: łups i łups, że cały chciałby wbić od razu. I gwóźdź zaczął się potroszeczką ~~co~~ chować w deskę, wślizgiwać. Ale w końcu i Ruskiemu się zgiął. To on za toporek, przystawił z jednej strony do gwóźdźka, a z drugiej prostuje go, wyklepuje i znów puk-puk z góry. A gwóźdź znów się krzywi, tylko w przeciwną stronę. To Rosjanin znów przykłada toporek, naprostowuje i znów puk-puk wbija kawałeczek, I tak co gwóźdź się zegnije, to on prostuje go i wbija po kawałeczku. Aż wbił do samej główki. Gospodarz na to: - No-no, ale ty wolniak jesteś, jakbyś krwi nie miał! - Pewnie, że mają cierpliwość ci Rosjanie.

Ale trzeba powiedzieć, że klatkę zrobił ojciec, jak się patrzy. I jeszcze drabinkę na trawę czy inną paszę, żeby nie leżała na podłodze i żeby króliki nie deptały po niej, nie opaskudziły, a tylko wyciągały tyle, ile zezryć mogą. I tę klatkę ustawił w komórcie, którą mieliśmy pod schodami w korytarzu.

Trochę tam za ciemno było, bo w drzwiach tylko małe okienko, ale jak byłem przy nich czy na podwórzu, to drzwi otwierałem szeroko i światło, nawet słońca, miały dużo.

Zresztą lubiłem przy nich być i patrzeć, co robią. Czasem to siedziały spokojnie, z usz<sup>ami</sup>ma położonymi po sobie, tylko przymykając i odmykając ślepia i ~~odkry~~<sup>odkrywały</sup>ając spokojnie. A czasem biegały po klatce, przytupywały głośno albo sięgały pyskami do drabki, wyciągały koniczynę czy mlecz i chrupały, wyciągały i chrupały, Przyzwyczały się do mnie: mogłem je brać za uszy, wyjmować z klatki, patrzeć, który jest samiec, a która samica, głaskać po grzbiecie...

Potem jak ojciec przyniósł jeszcze angory i jak zaczęły się rozmnażać, to roboty miałem z nimi co niemiara. Angory chowało się głównie na wełnę. Matka dawała ją prząść i robiła szydełkiem czapki, szaliki i rękawiczki dla sra<sup>uch</sup>. I dla siebie też. Angory miały karmazynowe ślepia i patrzyły tak, jakby nie widziały. Przy nich więcej było roboty, bo nie tylko musiałem starać się o żarcie i bobki wymiatać, ale jeszcze czesać rzadkim grzebieniem żeby wełna była dobra, prosta, a nie skudłaczona i zlepiona. I jak się jedna czy druga samica okociła, to samca trzeba było odsadzić, żeby małych nie zdeptał.

Bo były jak szczurki - różowe, ślepe i nieruchawe, A kiedyś prawdziwy szczur się zakradł, pozagryzał i poroznosił te ślepaki. Ostatniego znalazłem jeszcze przy dziurze, która prowadziła do piwnicy. Diurę zabiłem i Smolucha potem zostawiłem w komórce, żeby krótki, darmożjad jeden, bronił przed szczurami, bo nawet króliczka była podrapana i krwawiła z ucha.

Robotę więc miałem z nimi od niedzieli do soboty i od soboty do niedzieli. Najwięcej, gdy chodziło o żarcie. Workami musiałem nosić. A to trawę z mleczem, a to koniczynę, a to saradełę, a to znowu brukiew. Co brukiew to i sam jadłem. Czasem umyślnie szedłem z chłopakami na brukiew. Takie nie za duże się wybierało i nie za małe: nie za duże, bo wtedy nawet trzymać w ręku ciężko, a znowu nie za małe dlatego, żeby pojeść można było dobrze.

Taką brukiew za liście się chwytano i wyciągało. Jak ziemia była lekka albo nawet cięższa, ale mokra, to wychodziła łatwo, ale jak ciężka i zeschła, to trzeba było się nieźle naszarpać, napodkopywać, żeby wyciągnąć. Liście się zaraz odcinało i korzenie, wycierało brukiew o trawę, a potem dopiero odbierało ze skóry. Spokojnie, dokładnie, od czubka do dupki, z której wychodzą

( siwozielone liście. Pod skórą brukiew jest czyściutka jak niemowlęce kolano, śliska i twardawa, że się zęby w niej zapierają i rozłupują z trudem. Dlatego najlepiej z takiej obranej brukwi wykrajać ostre kawałki, półksiężyce albo plastry przypominające miód /jeżeli brukiew jest żółta, bo bywa także biała/. I takie ostre kawałki, kliny po prostu, półksiężyce albo plastry można jeść i jeść, iść przez pole i jeść, a od tego jedzenia aż się ślisko robi w ustach i potem tak dziwnie się odbija...

Po brukiew i różne zarcie dla królików chodziliśmy najczęściej na dworskie pola. Tak się mówiło, że na dworskie, ale one nie były już dworskie, bo nie było dziedzica. Zmarł jeszcze przed wojną i pochowany został na psim cmentarzu. ~~Te~~ To znaczy <sup>c</sup> - razem ze swoimi psami i innymi zwierzętami. Bo bardzo lubił zwierzęta i dużo ich trzymał we dworze. Psy, konie, koty, oswojoną sarenkę i jeże. Ale najbardziej lubił psy i koty.

Psy były różne: myśliwskie, wyżły i takie bardziej zwyczajne. Trzymał je wszystkie w pałacu, a nie gdzieś w budach na dziedzińcu czy w chlewiku, jak można by myśleć.

Nawet sypiały z nim razem. On kładł się na tapczanie, a one na dywanie. Jak któremu było zimno, to brał go na tapczan albo pies sam wciskał się pod kołdrę, przytulał do dziedzicowego boku i spał. Dziwnie to było słuchać, jak w nocy dziedzic chrapał i te psy chrapały albo poszczekiwały przez sen.

A rano gnał z nimi w pole. Ludzie widzieli, jak dziedzic pędzi, a przed nim sfora psów kotłuje się, poszczekuje, sika pod krzakami, płoszy wrony albo nawet zające. Zajęcy to dziedzic nie pozwalał ganiać, krzyczał na psy, jak się zapędziły, zawracał. A jak kiedyś jeden wyżeł dopadł zająca, to go tak zwymyślał, tak zbeształ, tak nawstydził, a potem jeszcze zamknął samego w stajence, że ten pies musiał ciężko żałować swego wyczynu.

Ludzie pracowali na polach, żęli czy zwozili zboże albo kopali ziemniaki, albo jeszcze co innego robili, a dziedzic ganiał z psami. Wieczorem zaś czyścił im sierść, karmił i układał do snu. Kochał te psy, można powiedzieć. Musiał kochać, bo na co inne nie zważał: czy tam w majątku wszystko dobrze idzie, czy ludzie pracują jak trzeba, a nie kradną, bo przecież jak tylko mogli, to kradli, co popadło albo czy się coś nie niszczy, nie marnuje, nie

idzie na zatracenie. Świątek czy piątek z psami przedtawał. A także z końmi, Bo konie też lubił, obrządzał je, czyścił zgrzebiem, poił i zamęczać przez fernali nie pozwalał: zaraz robotę wymówił, jak zobaczył, że który konie uderzył. I jak gdzieś zobaczył, że kota, weźmy, ktoś męczył, dziecko choćby jakieś, to mu zwierzaka odbierał, puszczał wolno, a na krzywdziciela krzyczał, jakby o jaką świętość największą chodziło: Kiedy się ktoś za skrzyuczonym ujął, ojciec, powiedzmy, i na dziedzica pomstować zaczął, odgrażać się, to mu pieniędzy tyle dał, że zaraz języka w gębie zapomniał i tylko kłaniał się w pas.

Taki zwariowany był przez te zwierzęta i jak zdychały, nie mógł ich odżałować. Cmentarz im założył, zaraz za sadem i chował z całym ceremoniałem. Trumienki u stolarza zamawiał i w trumienkach chował. Groby im robił, pomniczki stawiał z napisami takimi, jak: "Tu spoczywa mój ukochany wyżeł Kolos urodził się w 1915 r, zdechł w 1933 r.". Ludzie się oburzali na takie rzeczy i po nocach rozwalili te pomniczki, choć nieraz dziedzic z fuzją do łana czatował, ale proboszcz tylko wruszał ramionami: - Pomyleniec boży i kwita! A zawsze to lepsze, jak męczyć zwierzęta, głodzić, bić, a potem wyrzucać zdechłe do rowu czy gdzie indziej.



W Zaduszki największa już była obraza boska. Bo te psie i kocie groby stroił świerkiem i świeczki na nich palił, Ludzie z daleka mogli widzieć, jak na tym kawałku pola jest jasno, a on chodzi między tymi grobkami i tylko jego wielgachny cień kładzie się na ~~sz~~ drzewa sadu. Ale nie za długo i na jego grobie ktoś litościwy palił świeczkę. Życzenie takie miał, żeby po śmierci pochować go między tymi psami i kotami, więc go tam pochowali. Tyle, że grób jego był duży i z krzyżem, pośrodku, a dookoła te grobiki zwierzęce.

Kiedy ja z chłopakami na ten cmentarz chodziłem, to po psich grobach i nagrobkach prawie nie było już śladów, a tylko dziedzińcowy grób pozostał, choć zarośnięty, opuszczony, prawdziwie samotny. Dziedzic przecie nie miał żadnej rodziny, która by o tym grobie myślała. I majątek po jego śmierci zmarniał, a we wojnę, to już całkiem. Dwór, weźmy, był nieduży, prawie jak chałupa, tylko ganek miał z kolumnami, ale te kolumny były już poniszczone i tynk ze ścian odłaził, okna niektóre deskami pozabijane - ludzie jacyś tam mieszkali, to o nic nie dbali, pomyje przed sam ganek wylewali, A dalej na podwórzu kałuże takie były, błoto, że tylko w dobrych butach można było przejść. I zabudowania też się rozwalały: stodoła, obora, kurniki czy tam co innego. Pola nie widzieć

któ obrabiał i można tam było iść na brukiew, koniczynę czy sara-  
delę dla królików. Tylko uważać trzeba było, bo ktoś mógł przyłapać  
i skórę zerznąć.

To się przydarzyło Pypciowi. Pypeć też miał króliki, tylko że  
mniej angor, a więcej siwców i też chodził na dworskie pola po  
paszę, zresztą jak i inne chłopaki, bo mało który nie miał królików.  
I kiedyś Pypcia przyłapał jeden chłop. Pypeć worek rozłożył, kucnął,  
rwie koniczynę i ładuje do worka, rwie i ładuje, a na boki nie  
patrzy. Aż tu nagle ktoś krzyczy: - Ty złodzieju jeden! Ty złodzieju  
to dla ciebie siałem? - Patrzy się, a chłop leci przez pole.

To Pypeć łaps za worek i w nogi. Ucieka przez koniczynę, ale to  
nie takie łatwe, bo duża już i nogi oplątuje, A chłop goni i zło-  
rzeczy. Trudno Pypciowi było, już się zmęczył, a jeszcze worek  
mu ciążył.

I nagle jakon się zaplątał w tej koniczynie czy potknął nie  
wiedzieć o co i rymnął jak długi. Nie zdążył się podnieść, a już  
chłop łaps go za koszulę na plecach i drugą ręką za ucho. - No,  
widzisz złodzieju! - mówi. - Wstawaj i podnosi ~~się~~ go za ucho,  
a Pypeć wije się z bólu i beczy: - Już nie będę, już nie będę!

Jak Boga kocham! - Co mi się tu będziesz bożył! - jak nie wrzaśnie chłop. - Bierz worek i idziem!

Pypeć wziął i taki skulony, przyczepiony do ręki tego chłopca i dźwigający worek idzie, a co i raz syczy z bólu. Przyszli do czworaków, gdzie ten chłop mieszkał i on otworzył drzwi od chlewika i wepchnął Pypcia do środka. Pypeć myślał już, że go chce tam zamknąć, uwięzić, za więźnia trzymać i nikt by nie wiedział, gdzie jest. Co by starzy zrobili, gdzie by go szukali? Ale chłop powiada: - Wysyp! - I Pypeć posłusznie zrobił to, a tamten: - Uciekaj, a jak jeszcze raz cię przyłapię, to nogi z dupy powyrywam! - I ma się rozumieć, że Pypeć uciekł, że tylko się kurzyło za nim.

Pewnie, że tak mogło być i ze mną, gdybym się zagapił, nie rozglądając się i nie uciekł zaraz, jakby ktoś szedł. <sup>może nawet</sup> ~~Może nawet~~ <sup>było</sup> ~~było~~ Ale żeby zaraz tak beczeć i skamleć, że boli, to na pewno nie beczałem i nie skamlałem.

A z królikami potem było nieszczęście. Jednego dnia idę do komórki, a tu kłódka urwana i drzwi otwarte. Patrząc: klatki też pootwierane i puste. To już widziałem: złodziejstwo. Poleciałem do ojca, a ojciec jak zobaczył, co się stało, zaczął odgrażać się, że znajdzie tego, co to zrobił, a wtedy już porachuje się z nim.

Ze odgrazał się złodziejowi, to rozumiem, ale dlaczego zezłościł się na mnie, to nie wiem. Bo przecież co, jak co, ale o te króliki to dbałem i żeby większe dbanie mogło być, to nie umiem sobie wyobrazić.

Ojciec odgrazać się, to się odgrazał, ale żeby szukać tego złodzieja, to nie miał głowy. Tylko ja chodziłem po chłopakach którzy mieli króliki, a prawie każdy miał i popatrywałem, czy gdzie moich nie zobaczę. Ale czy to tak łatwo poznać: królik to jest królik i koniec?. Człowieka od człowieka odróżnisz, a królika? U Pypcia to mi się nawet zdawało, że zauważyłem swoją królicę. Plankę taką miała na uchu, jak i moja. Ale czy to inne królice nie mogą mieć takich samych? Gdzie to jest napisane, że nie mogą?

---

x/ Fragment powieści "Chłopiec", która ukaże się w br. w bydgoskiej filii Wyd. Morskiego.